

Nie oszczędzę ani życia, ani trudu dla misji.

Wywiad z o. Sebastianem Chmielewiczem zamieszczony w czasopiśmie „KOMBONIANIE” nr 6 z 2012 r.

Witam Ojca bardzo serdecznie!

Lapya lesi (Witam serdecznie)!

Czad jest Ojca pierwszą misją. Rozumiem, że obawy, jakie zwykle towarzyszą misjonarzom przed przyjazdem do Afryki, ma już Ojciec za sobą.

Tak, to prawda. Rzeczywiście, na samym początku było we mnie dużo bojaźni, bo to inny klimat, język, choroby, zwierzęta, owady itd. W pamięci wciąż miałem różnorodne opowieści moich współbraci z różnych misji afrykańskich, ich przestrogi i rady. Stąd też na samym początku czułem się trochę jak sparaliżowany. Zwracałem uwagę na wszystko: na komary, na jedzenie, na picie filtrowanej wody, nieustanne mycie rąk, branie tabletek przeciwmalarycznych i zakładanie czapki. Byłem wyjątkowo czujny wobec nieznanej zwierzyny, szczególnie skorpionów czy węży.

Jednak czas robi swoje. Do wszystkiego można się przyzwyczaić, oswoić się z tą innością i po prostu być cierpliwym. Nie można przesadzać z ostrożnością, czego nauczyli mnie współbracia, którzy pracują tu już od wielu lat. A wtedy spokojnie można podziwiać wszelkie uroki tutejszych krajobrazów, jak choćby małpy skaczące z drzewa na drzewo, niezwykle barwne ptaki i „domy” utworzone przez termity.

Obecnie pracuje ojciec w parafii w Bodo, która uchodzi za „spichlerz” czadu. Skąd takie stwierdzenie?

Nasza parafia w Bodo, w diecezji Doba, znajduje się głęboko w buszu, a mimo to nazywana jest „spichlerzem” Czadu, gdyż przybywają tu handlarze z całego kraju, a nawet z Kamerunu i Republiki Środkowej Afryki. Skupują tu od rolników orzechy arachidowe, proso, sezam i inne produkty. Tutejsza ziemia jest niezwykle żyzna i daje dobre plony.

Jak duża jest parafia?

Bardzo duża. Rozciąga się na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów. Liczy ponad 90 wiosek, podzielonych na 10 sektorów. Mamy około 5 tysięcy wiernych. Jest tu nas tylko czterech: o. Avelino z Peru, o. Joao z Portugalii, o. Luigi z Włoch, no i ja z Polski. Do większości wiosek można się dostać jedynie samochodem terenowym, do kilku trzeba przeprawiać się łódką, a potem iść pieszo.

Do czego Ojcu najtrudniej było się przyzwyczaić?

Chyba do braku elektryczności. Słońce tu wschodzi około 5.30, a zachodzi o 17.30. I nie rozkłada się to w czasie, jak to się dzieje w Polsce. Tu natychmiast robi się ciemno. Dobrze, zatem nosić przy sobie latarkę, bo jeśli księżyc mocno nie świeci, to zupełnie nic nie widać. W mieście Doba także nie ma światła. Na biskupstwie używają agregatu produkującego prąd,

ale tylko chwilę po kolacji w pokojach jest oświetlenie. W Bodo używamy baterii słonecznych, które ładują akumulatory, aby mieć odrobinę światła. I to właśnie dla mnie był nowy aspekt Afryki. Brak prądu. Człowiek wkłada wtyczkę do kontaktu, chce zapalić światło, bo tak zawsze czynił, a tu nic nie działa, trzeba poczekać do rana.

Święty Daniel Comboni, założyciel kombonianów, był odpowiedzialny za teren dzisiejszego Czadu, ale, niestety, nigdy tam nie dotarł.

Tak, teren obecnego Czadu był częścią wikariatu św. Daniela Comboniego. Kraj był kolonią francuską, ale ateistycznie - deistyczna Francja, która stała się taką po rewolucji francuskiej nie tylko nie interesowała się przekazem wiary, ale wręcz zniechęcała do pracy misyjnej. Stąd ewangelizacja w Czadzie liczy mniej niż sto lat, a na naszych południowych terenach około siedemdziesięciu, pięć nawet trzydziestu lat. Głównym zadaniem naszej pracy misyjnej w tym kraju jest pierwsza ewangelizacja. Bo znaczna część populacji, nie słyszała jeszcze o Chrystusie. Obok pierwszej ewangelizacji jest jeszcze dialog z islamem, bowiem północ Czadu w większości jest zislamizowana, dlatego od kilku lat nasza wspólnota w Ndjamenie skoncentrowała się na dialogu międzyreligijnym.

Z pewnością jest Ojciec bardzo szczęśliwy, że trafił do Czadu, gdyż może teraz iść śladami św. Daniela Comboniego.

Zdecydowanie tak. Mam wielką radość w sercu i dziękuję Bogu Ojcu i Maryi, że tu trafiłem. Doskonale wiem, że to początek mojej pracy misyjnej i nie powinienem „chwalić dnia przed zachodem słońca”. Jednak ta radość jest głęboko we mnie i dlatego pragnę się nią dzielić. Spotykam tutaj ludzi prostych, bardzo zapracowanych, a mimo to niezwykle radosnych. Czuję, że serca Czadyjczyków, z którymi przebywam, są szeroko otwarte na Chrystusa. Oczywiście, czeka nas tu jeszcze ogrom pracy.

Domyślam się, że ta radość przeplata się z codziennymi trudami i obowiązkami.

Jak wcześniej powiedziałem, czuję się przeschęśliwy, ponieważ mogę służyć Bogu Ojcu, Synowi, Duchowi Świętemu, Matce Najświętszej i całemu Kościołowi, ale też i zmęczony, bo „żniwo wielkie a robotników mało”, jak powiedział Pan Jezus do swoich uczniów. I to jest najszczęstsza prawda. Jest nas tu niewielu, pracy misyjnej bardzo dużo. Całe –szczęście, że pomagają nam katechiści. To głównie oni zajmują się katechizowaniem wiernych. Mamy ich około dziewięćdziesięciu. Podczas Eucharystii tłumaczą nasze kazania z francuskiego na język lokalny. Ogromnie ważna jest nasza współpraca, dlatego główny akcent pada na ich dobrą formację. A jeśli chodzi o moje obowiązki, to pełnię we wspólnocie funkcję ekonoma i mam pod opieką dwa sektory: „Magdala” i „Sichar”, tzn. 30 wiosek. Jestem również odpowiedzialnym za ruchy maryjne w parafii, takie jak „Legio Marie”, „Rewnodji” i „Denenodji”, które skupiają 2 tys członków. Ważne, by im duchowo towarzyszyć, dając jednocześnie dobrą formację.

Wspomnił Ojciec o ruchach maryjnych. Czy to znaczy, że kult Maryi rozpowszechniony jest w Czadzie i że w tej części Afryki są miejsca, gdzie jest czczona?

Niestety, kult maryjny jest tu słaby. Bardzo mi brakuje takiej ludowej pobożności. Te wielkie skarby Kościoła są gdzieś odstawione na bok. Różaniec, nabożeństwa majowe, czerwcowe, październikowe, pierwsze piątki i soboty miesiąca, nabożeństwa do świętych, litanie,

adoracje, procesje, Koronka do Miłosierdzia Bożego. Tutaj jest brak tego wszystkiego albo jest tylko w niewielkim stopniu. Niestety, także sakramenty święte, jak Eucharystia czy spowiedź, nie były dotąd pielęgnowane, a programy diecezjalne ostatnich lat koncentrowały się bardziej na pracy socjalnej. Propagowane było jedynie czytanie, a właściwie słuchanie tekstów Pisma Świętego. Tu jest wielkie ubóstwo duchowe, choć lud jest bardzo otwarty. Niewielu jednak duchownych chciało i chce o takich rzeczach mówić.

Brakuje również obrazków i wszelkich dewocjonałów, które można by ludziom rozdać. Ale nie tracimy nadziei na ożywienie ducha maryjnego wśród lokalnej ludności. Ostatnio nawet otrzymaliśmy statuetkę Matki Bożej Fatimskiej i rozpoczęliśmy peregrynację, podczas której organizujemy specjalne nabożeństwa - różaniec i czuwanie nocne. Naszym celem jest zachęta do szczególnej czci Matki Bożej i zaangażowania ludzi w życie całej wspólnoty Kościoła. Na terenie parafii rozpoczęliśmy również budowę groty Matki Bożej Fatimskiej, by stała się miejscem Jej kultu.

Co Ojca ujmuje w mentalności i zachowaniu lokalnej ludności?

Czadyjczycy kryją w sobie wiele pięknych wartości, które w Europie zostały trochę zapomniane. Widać tu ogromny szacunek do natury. Człowiek bierze tylko to, co potrzebuje. Ludność południowej części kraju jest bardzo gościnna. Kurczaki, których przy każdym domostwie jest wiele, stanowią poczęstunek dla ważnych gości. A propos wioskowego jedzenia, dla mnie był to prawdziwy „chrzest bojowy”. Zazwyczaj po niedzielnej Mszy św. miejscowy katechista zaprasza do siebie misjonarza i innych gości na obiad. W oczekiwaniu na posiłek wszyscy siadają przy stole, pod drzewem. Żona katechisty przynosi jedzenie na tacy i lekko przyklękając wita każdego z przybyłych. W międzyczasie następuje rytuał obmywania rąk. Je się z jednej tacy, z tych samych „garnków”. Główną potrawą jest duża zbita kula z prosa oraz sos z mięsem.

Posiłek rozpoczyna najważniejszy gość, lepiąc kulkę i maczając w sosie. Na początku, przyznam szczerze, było to dla mnie trudne, bo proso gorące, sos także, ale wszystko to razem pyszne, że „palce lizać” w dosłownym tego słowa znaczeniu. Potem, gospodarz ofiaruje głównemu gościowi najważniejszą część, czyli żołądek, a pozostałym rozdaje inne jego części. Po posiłku znowu następuje mycie rąk, po czym podawana jest gorąca herbata, przy której toczą się rozmowy. Dla misjonarza herbata jest najlepszym napojem, bo wiadomo, że woda jest przegotowana i nie będzie problemów z żołądkiem. Napój ten zawiera bardzo dużo cukru, ponieważ miejscowi ludzie potrzebują dużo energii przy pracy w polu.

A co Ojca najbardziej niepokoi?

Trudna sytuacja dzieci. Są pozostawiane same sobie, zaniedbane i w większości niedożywione. One, jak szczenięta, zjadają ostatki. Starsi niewiele się nimi przejmują, bo jest ich dużo. Pamiętam pewną sytuację, kiedy ze współbratem pojechaliśmy do wioski Koum – ouabe, gdzie wspólnota buduje kaplicę. Spośród mnóstwa witających dzieci podeszła do nas bardzo radosna dziewczynka. Podpierała się kijkiem. Zauważyliśmy, że na lewej kostce nogi ma dużą ranę. Pozostałości po bandażu przykleiły się do ciała, a wszystko było bardzo brudne i groziło zakażeniem. Odnaleźliśmy jej ojca i poradziliśmy, żeby zaprowadził córkę do pielęgniarsza. Jego reakcja nas zasmuciła. Nie okazał, bowiem żadnego zainteresowania. To było takie „aha”, a zabrzmiało, jak „czego wy ode mnie chcecie”. Odnieśliśmy wrażenie, że dla niego nie ma to żadnego znaczenia. Postawił nas w sytuacji niemocy. Życie jest tu rozumiane tak, jak to obserwuje się w przyrodzie: dzisiaj jesteś, jutro cię nie ma.

Bardzo Ojcu dziękuję za rozmowę i życzę ożywienia ducha maryjnego w sercach Czadyjczyków.

Oyo ngay. Tor Ndu Dosi Dy (Dziękuję bardzo. Niech Bogi Warn błogosławi)!